

rozdział I

W letnie popołudnia stary miał zwyczaj siadać na niskim progu i patrzeć na zakurzoną, niezbyt ruchliwą ulicę.

– Czego tak sterczysz jak kamień? – burczała żona.

– Zostaw mnie, jestem zmęczony – odpowiadał i znów zapadał ni to w sen, ni to w zadumę. Czasem siedział tak do późnego wieczora, potem ociężale dźwigał się i szedł na kolację.

Sąsiadów z początku to dziwiło. Zagadywali do niego, próbowali nawiązać rozmowę, przeważnie jednak bezskutecznie. Odpowiadał niechętnie i raczej unikał ludzi. W końcu wszyscy przyzwyczaili się do tego. Stał się nieodłącznym elementem ulicy; nie zwracano na niego uwagi, tak jak nie dostrzegano stojącego przed domem starego, przekrzywionego kamienia, który kiedyś był pomalowany wapnem.

W niektóre popołudnia próg przed mieszkaniem Zadorów był pusty. Ale wiadomo było, że stary w końcu przyjdzie. Zatoczy się, potknie o kamień i zwali na swoje miejsce. Pomamrocze coś pod nosem, zamachnie się na natrętne dzieciaki, rzuci przekleństwo i zaśnie zaślioniiony, niechlujny.

W lecie mieszkanie Zadorów było odgradzone od ulicy kawałkiem kretonu zawieszonym na otwartych drzwiach, gdyż w środku panował upał i zaduch. Kiedyś był to skromny sklepik, zaopatrujący całe przedmieście w mydło, sól, zbożową kawę i inne „artykuły kolonialne”. Dziś zostały tylko na pół zatarci napisy po obu stronach drzwi: „kakao, kawa, nabiał”... Właściciel wyniósł się z miasteczka,

a dawny sklep Zadorowie zamienili na mieszkanie. Za ladą mieściła się kuchnia, reszta zaś obszernego pomieszczenia zastępowała jadalnię i sypialnię.

Ciekawskie dzieci i wścibscy sąsiedzi mieli sporo uciechy, gdy Zadorowa wciągała męża ze schodów do domu. Czasem był bezwładny jak wór mąki, niekiedy próbował się opierać, ale na ogół nie miał sił, żeby protestować energiczniej. Klął więc tylko pod nosem i przelewał się przez ręce.

Zośka czasem pomagała matce w tej czynności. Częściej jednak odsuwała się jak najdalej albo wychodziła z domu. Nigdy nie mogła się przyzwyczać do widoku pijanego ojca. Brzydziła się nim i zarazem bała. Ilekroć musiała go dotknąć, zbierało jej się na wymioty.

Miała szesnaście lat, zgrabne nogi, a głowę pełną marzeń i mrzonek. Gdyby ją ktoś zapytał, dlaczego przestała się uczyć po siedmiu klasach szkoły podstawowej, sama prawdopodobnie nie potrafiłaby dać odpowiedzi. Wzruszyłaby ramionami i oświadczyła z uśmiechem: „Tak mi się jakoś złożyło”...

Nie miała dużych trudności w nauce. Była raczej leniwa, ale nie bardziej niż tysiące innych dziewcząt w jej wieku. Woląла kino czy wygrzewanie się nad brzegiem rzeki w lecie, a sanki zimą niż ślęczenie nad nudnymi książkami, lecz niektóre przedmioty niezwykle ją interesowały.

Bardzo chętnie uczyła się geografii. Nazwy egzotycznych miast, lądów czy państw same wbijały się jej w pamięć. Bujna wyobraźnia podsuwała obrazy skąpanych w słońcu plaż, wysokich palm, bezszelestnie sunących samochodów, wyfraczonych panów z pokrytymi szronem siwizny skrońmi, zapraszających ją do najelegantszych lokali.

Lubiła też historię. Ale tu znów widziała cudowne kreacje dworskich dam, tańczyła menuety, jeździła karetami, kochali ją książęta i szlachetni rycerze.

A tymczasem w życiu samochody przejeżdżały przed ich domkiem na przedmieściu i pozostawał po nich tylko kurz, który wdierał się przez nieszczęzną zasłonę do mieszkania. Z marzeń budził ją przykry głos matki, wiecznie narzekającej, zapracowanej, chorowitej, dźwigającej na swych barkach wór domowych trosk, zawsze wzdychającej do lepszych czasów.

Zadorowa nie była jeszcze starą kobietą i kiedyś musiała być nawet niebrzydka. Świadczyła o tym ślubna fotografia wisząca nad łóżkiem. Pochylona ku niej głowa młodego mężczyzny z zabójczym hiszpańskim wąsikiem i lekko zamglonym „od kochania” wzrokiem należała do ojca Zośki, zdolnego niegdyś majstra murarskiego. Dawne to były czasy. Mieli przed sobą życie, piękne perspektywy – rzemieślnik zawsze ma chleb w rękach. Okazało się jednak, że w życiu bardzo trudno czasem zrealizować najprostsze marzenie, gdy w rękach rzemieślnika za często pojawia się kieliszek. Majster nie zawsze miał robotę, czasem wyjeżdżał na całe miesiące, żeby zarobić na utrzymanie domu. Zimą trzeba było żyć z tego, co zarobiło się latem, w sezonie. Ale w długie zimowe wieczory dla zabicia wlokącego się czasu bezrobotny rzemieślnik szukał rozrywki wśród kolegów, pił, grał w karty i wynajdywał tysiące okazji, żeby wyciągnąć od żony zarobiony w lecie grosz.

Potem przyszedł na świat syn. Dziecko przysporzyło kłopotów, walka o życie zrobiła się jeszcze cięższa. I tak po kolei trzeba było rezygnować z pięknych przedmałżeńskich marzeń: własny domek odsunął się w sferę nieosiągalnych mrzonek, potem nawet posiadanie własnego mieszkania przekroczyło ich możliwości.

Wojna też zostawiła w nich trwałe ślady. Gdy ciągnęli szosą z tłumem uciekinierów, nadleciały samoloty i wtedy w przydrożnym rowie pozostał na zawsze ich sześćioletni synek. Potem okrutne lata przytępiły żal i matka myślała czasem nawet, czy nie lepiej, że jej małe dziecko nie musi się tak potwornie męczyć.

Zadora zajął się nielegalnym handlem. Jeździł po wsiach, skupował mięso i przywoził do miasta. Ten proceder, choć pozwolił im jakoś przetrwać, a nawet dawał niekiedy niezły zysk, dostarczał jednak handlarzowi wiecznych okazji do picia. Żona cierpiała z tego powodu, ale nie mogła nic mówić, bo w odpowiedzi słyszała, że tego wymagają interesy, a zresztą życie jest i tak niepewne, więc czemu sobie żałować.

Tak w codziennych troskach i zmarnowanym życiu utonęły marzenia, miłość do męża, ambicje; pozostała samotność i gorycz. Po dwudziestu trzech latach małżeństwa ładna dziewczyna zmieniła się w zgorzkniałą kobietę. Ożywiły ją narodziny Zośki. Czasy były bardzo ciężkie, lecz Zadorowa cieszyła się dzieckiem, w którym widziała jedyną bliską sobie istotę. Dziewczynka zajęła teraz w jej sercu miejsce opuszczone przez męża i syna.

Zadorowa kochała Zośkę prymitywną, egoistyczną miłością matki, która wierzy, że tylko ona może zapewnić dziecku szczęście. Tak jak kiedyś planowała swoje życie, tak teraz snuła marzenia na temat przyszłości córki, jej szczęścia. A wierzyła głęboko, że dziewczynie nie potrzeba do tego dyplomów ani uniwersytetów. Wystarczy bogaty, kochający, uległy mąż, który spełni wszystkie życzenia i zachcianki.

Wbijała Zośce w głowę, że dziewczyna musi być ładnie ubrana, umieć się należycie zachować, znać się na gospodarstwie, bo choćby miała dziesięć służących,

od niej będzie zależał cały dom. Wtedy dopiero będzie się podobała mężczyznom. Często też zwracała jej uwagę, że nie powinna się zadawać z byle kim, bo to do niczego nie prowadzi, a ona jest przeznaczona dla kogoś lepszego.

Mając takie poglądy na przyszłość córki, nie przejmowała się nadmiernie, kiedy na wywiadówkach słyszała, że Zośka leniuchuje. A gdy dziewczyna po siedmiu klasach oświadczyła, że nie będzie się dalej uczyła, matka nie protestowała. Początkowo postanowiły, że dziewczyna pójdzie na jakiś kurs gospodarstwa domowego, bo „to zawsze się jej przyda”, ale w końcu zaniechały nawet tego. Matka patrzyła na smukłą, zgrabną postać córki i teraz już otwarcie wpajała jej przekonanie, że jest przeznaczona dla „kogoś lepszego” i celem jej życia powinno być zrobienie „dobrej partii”. I tak czekała na męża dla Zośki, a dziewczyna obijała się, marnowała czas.

Po wojnie murarze byli potrzebni, toteż w domu nie mieli biedy. Matka musiała tylko pilnować wypłat, by majster nie utopił pieniędzy w kieliszku. Chodziła więc w te dni do niego na budowę i tak się z tym oswoiła, że w końcu uważała to za rzecz normalną.

Przyzwyczała się też przez tyle lat do jego pijaństwa. Wiedziała, jak z nim postępować, kiedy jest zupełnie nieprzytomny, a co robić, gdy wpadając we wściekłość, żąda pieniędzy na wódkę. Nie kochała go, czasem nawet brzydziła się nim i przeklinała chwilę, w której zdecydowała się wyjść za niego. W gruncie rzeczy jednak przywykła do swego życia i nawet jej przez myśl nie przeszło, żeby wyzwolić się od pijaka. Była już za stara, żeby na nowo zaczynać życie, a zresztą w sferze jej pojęć nie mieścił się rozwód, separacja czy inna forma wyzwolenia. Była fanatycznie religijna i uważała, że to co raz zostało związane, nie może być na ziemi rozłączone. Zabierała więc

mężowi pieniądze, w zamian dając mu utrzymanie i tylko nigdy nie mogła pogodzić się z tym, że robi jej wstyd przed ludźmi. Przed sąsiadami, znajomymi zawsze pragnęła uchodzić za dobrą matkę, żonę i chciała, żeby nie widzieli „hańby”. Bała się zresztą, że pijaństwo ojca może zaszkodzić opinii jej córki i zrazić ewentualnego zięcia.

A stary majster Zadora utonął w swoim kieliszku. Pracował, bo nie mógł przestać pracować, nie mógł stracić rozpędu, jak kamień strącony z góry. To był u niego odruch warunkowy, bez którego nie mógł żyć. Pewno kiedyś, przed laty, i on miał swoje ambicje i marzenia, szczerze obiecywał młodej żonie, że dorobią się domku i będą żyć w dobrobycie. Teraz, po latach niczego już nie obiecywał. Początkowo drażnił go dokuczliwy głos żony, która bez przerwy oskarżała go o złamane życie i zawiedzione nadzieje. Potem otepiał, nie słyszał nawet, kiedy zrzedziała. Kiedyś, kiedy jeszcze pił mniej, próbował zabierać głos na temat domu czy Zośki. Ale tu żona była nieustępliwa. Tylko jej zdanie było ważne, tylko ona miała rację, tylko jej plany wchodziły w rachubę. Zrezygnował więc z prawa głosu, ale czasem, gdy słuchał gadaniny o małżeństwie córki, mruczał:

– Niech się jakiegoś fachu nauczy albo idzie do roboty. Baba jak piec, a nic nie robi, tylko żre i czeka na królewicza...

Przy okazji spuszczał córce lanie, bo tę formę wychowania uważał za niezawodną. Matka podczas bicia broniła córki dość słabo, ale do spraw matrymonialnych nie pozwalała się ojcu wtrącać.

W końcu pijaństwo ojca doszło już do takiego stadium, że nic dla niego nie istniało, nic go nie obchodziło. Zrobił się wulgarny i brutalny. Czasem w napadzie pijackiego szału bił żonę, żądając pieniędzy. Nierzadko też obrywała Zośka, przeważnie niewinnie, co budziło w niej odruchy

buntu i nienawiści do ojca. W alkoholowym zamroczeniu pijak nie wiedział, co robi. Był bliski delirium.

W tej sytuacji Zośka prowadziła dziwne życie. Niby mieszkała w domu – tu przecież jadła, spała – nic jednak ją z domem nie wiązało. Było jej dość wygodnie lawirować między matką a ojcem, ale raziło ją chamstwo ojca, nienawidziła go za bicie, wstyd, jaki jej przynosił, za to wreszcie, że nie był kimś innym, bogatym, „lepszym”. Ale i matka, ze swoimi lamentami, wiecznymi planami matrymonialnymi, religijną uległością wobec pijaka, także raziła dziewczynę, która chciała być z „lepszej rodziny”. Coraz bardziej zdawała sobie sprawę, że nie cierpi domu, a rodziców się wstydzi.

Mimo to było jej w domu dość wygodnie. Nie znała spokoju, ciepła rodzinnego, ale miała co jeść i w co się ubrać, a przy tym nie musiała pracować. Ojca nienawidziła, matką pogardzała i już od młodości zaprawiała się w zakłamaniu, nieufności, starała się chodzić własnymi drogami. Miewała sympatie i znajomości, ale wszystkie trwały krótko. Marzyła o tym, żeby znalazł się ktoś, kto by ją wyrwał z dotychczasowego życia, wsadził do samochodu i powiózł daleko od zakurzonego przedmieścia, pijanego ojca i kłótlivej matki. Królewicz się nie zjawił, a znajomi chłopcy proponowali nieprzyzwoite rzeczy.

Ale gdy wychodziła do miasta, starała się kręcić biodrami, bo uważała, że wytworne kobiety tak właśnie powinny robić, a w każdym razie wiedziała, że to się podoba mężczyznom. Powiedział jej zresztą o tym Maciek, z którym przyjaźniła się najdłużej. Zdawało jej się nawet, że właśnie on jest tym, który zabierze ją do pięknej willi. Maciek odbywał praktykę w szpitalu miejskim. Pacjentki już teraz zwracały się do niego per „panie doktorze”.

Był przystojny i elegancki, nie przeklinał i zabierał Zośkę do kawiarni. W kinie ścisnął jej rękę lub nieznacznie trzymał za kolano. Wszystko to jednak robił tak delikatnie i łagodnie, że przez myśl jej nie przeszło protestować czy obrażać się.

Pocałowali się za rogiem domu, gdy ją odprowadzał późnym wieczorem. Zdawało się, że tylko księżyc był świadkiem tej niemej sceny. Ale okazało się, że świadków było więcej. Nazajutrz matka zrobiła Zośce piekielną awanturę.

– Nie pozwolę, żebyś się tak zachowywała na oczach wszystkich! – krzyczała. – Pod samym domem ściskasz się nie wiadomo z kim. Cała ulica o tym mówi!

– Mam gdzieś całą ulicę – oświadczyła Zośka ze spokojem.

– To wyprowadź się z domu! Nie będę znosiła wstydu! Nie wiadomo co za jeden ani skąd się wziął, a ty od razu rzucasz mu się na szyję!

– A właśnie że wiadomo! – wrzasnęła rozzłoszczona dziewczyna. – Za rok będzie lekarzem, może się ze mną ożeni!

Matka zamilkła. Chodziło jej przecież o to, z kim... Uznała, że lekarz może stanowić odpowiednią partię dla jej córki. Uspokoili się więc i tylko dodała ostrzegawczo:

– Uważaj, szanuj się i nie pozwalaj mu za dużo. Jesteś już na tyle dorosła, że nie muszę ci chyba tłumaczyć, co taki gość może ci zrobić. Potem wyjedzie, a ty zostaniesz...

Wprawdzie matka nigdy Zośce nie mówiła, co „taki gość” może jej zrobić, ale ona i tak dobrze wiedziała. Wstydlive wiadomości zdobyła od starszych koleżanek, bardziej doświadczonych. Nie miała więc braków w tej dziedzinie i nawet Maćka nie puszczała poza granicę kolan. Całowała

się jednak z nim chętnie, zwłaszcza od czasu rozmowy z matką, gdyż teraz nie bała się żadnych plotek, a w duchu nawet sądziła, że matka to aprobejuje. Zadorowa próbowała ją wypytywać o Maćka i jego zamiary, ale teraz już nie zrzędziła, bo w głębi serca miała nadzieję, że jej córka zostanie „panią doktorową”.

Spotykali się codziennie, chodzili do kina i kawiarni, wzbudzając zazdrość koleżanek Zośki. A gdy się ściemniało, szli do parku, gdzie on starał się wykorzystać ciemności, a ona się broniła.

Któregoś dnia Zośka wychodziła z mieszkania, gdy na progu zderzyła się z ojcem. Chciała go wyminąć w milczeniu, lecz zatoczył się na nią, aż uderzyła ramieniem w drzwi. Miał zaczerwienione oczy i kilkudniowy zarost. Cuchnął wódką i wapnem.

– Mógłbyś uważać, jak chodzisz – powiedziała ze złością.

Bez słowa uderzył ją w twarz. Chciała za wszelką cenę uniknąć awantury. Wykręciła się i ruszyła do drzwi, ale pijak ponownie zastąpił jej drogę.

– Suko! – warknął.

Matka próbowała go odciągnąć, ale odepchnął ją, aż poleciała w kąt mieszkania, i zaczął bezlitośnie bić dziewczynę. Trzymał za włosy i tłukł pięścią po głowie i plecach. Szarpnęła się, aż został mu w garści pęk włosów. Wściekłość zapłonęła w niej. Z pazurami i zębami rzuciła się na ojca. Zaskoczony nagłym atakiem począł się cofać i zasłaniać twarz rękami, a ona gryzła, drapała i kopała. Pijak chwycił leżący na stole talerz i zamierzył się na rozszalałą córkę. Ale w tym momencie matka złapała garnek z gorącą zupą i chlusnęła mu w twarz. Zawył i upadł obok stołu.

Zośka wybiegła z domu. Włosy i ubranie miała w nieładzie. Ludzie, którzy zebrali się przed domem,

rozstąpili się przed nią w milczeniu. Szła jak lunatyczka, niezdolna skupić myśli. Dopiero za rogiem przystanęła, żeby poprawić suknię i przyczesać włosy. Z trudem wstrzymywała łzy, ale nie było takiego przekleństwa, którego by nie rzuciła na głowę ojca.

Maciek od razu zauważył, że dziewczyna jest wytrącona z równowagi. Nie pytał o nic, tylko wziął ją pod rękę i skierował ku kawiarni.

– Nie, nie – zaprotestowała. – Nie chodźmy dziś tutaj.

– A dokąd?

– Wszystko jedno, do parku, do kina, nie chcę widzieć ludzi... Najlepiej chodźmy do kina.

– Już byliśmy. Film zmieniają jutro.

– To nic, chodźmy jeszcze raz.

Gdy na widowni zgasło światło, chwyciła go za rękę i mocno przywarła do jego ramienia.

Zapadł już zmierzch, kiedy wyszli ponownie na ulicę. Przez jakiś czas szli w milczeniu, pozwalając się wymijać ludziom. Potem wokół nich zrobiło się pusto. Ulice niewielkiego miasta ciche są i spokojne wieczorami. Jedyne na deptaku młodzi spacerują trochę dłużej. Przez otwarte okna widać było białe sufity ze zwisającymi z nich świecącymi lampami.

– Chcesz, żebym cię odprowadził do domu? – zapytał.

– Och, nie, nie! – zaprotestowała. – Jeśli chcesz już odejść, to idź! Nie krępuj się.

– Nigdzie nie chcę iść, tylko jesteś dziś taka dziwna.

– Chodźmy do parku.

Poszedł posłusznie i po drodze zastanawiał się, co jej się dziś stało. Kiedy weszli między drzewa, wzięła go pod rękę i znów przytuliła się do jego ramienia. Objął ją, a równocześnie pomyślał, że miła z niej dziewczyna. Na policzkach czuł miękkie włosy. Trochę go

łaskotały, ale nie usuwał głowy, żeby nie zepsuć nastroju. Żwir skrzypiał pod nogami, a z ławek dolatywał chichot i szept. Szli wolno, zatopieni w swych myślach. Ona czuła się dobrze i myślała, że chciałaby teraz umrzeć, on pragnął również, żeby ten wieczór trwał jak najdłużej.

Przeszli przez cały park i znaleźli się nad brzegiem rzeki. Nie słyszeć jej było, bo płynęła leniwie i sennie, a tylko światła z przystani na drugim brzegu odbijały się w niej żółtymi smugami. Usiedli za starą łodzią wyciągniętą na brzeg. Trawa była mokra od wieczornej rosy. Odgarnął jej włosy i pocałował delikatnie w usta. Wtedy zamknęła oczy i nagle ze wszystkich sił przywarła do niego. Już wiedział, że wreszcie nie będzie stawiać mu oporu. Jęknęła cicho i złapała go za rękę.

– Nie, nie... kochany mój... Przytul mnie mocniej. O Boże!

A potem zaczęła całować go bezładnie i mówić jak w gorączce:

– Och, zabierz mnie stąd, jedyny, zabierz daleko...

Gdy brał ją, tamowane od tylu godzin łzy trysnęły wreszcie z jej oczu.